

Tadeusz PETRYKOWSKI

Data: 8.02.1981 r.

Red. Literacka

Godz.: 16.05 - 17.30

Główny Urząd Kontroli Prasy
Publikacji i Widowisk
Delegatura w Bydgoszczy
uczelnia przed wykonanie
i rozważenie

Wzrost _____
Data: 6.2.81 _____
Format _____
Pojm. _____

JAK TU BLISKO, JAK DALEKO...

Komunikaty prasowe powiadomiły czytelników o zmianie godzin przedstawień w teatrze toruńskim z wieczornych na popołudniowe, a nawet przedpołudniowe. To ostatnie dotyczy "Powrotu posła", granego głównie dla szkół. Popołudnia wypełniają grani tu od połowy grudnia "Wierzycciele" Strindberga, reklamowani jako "sztuka kameralna, której tematem są skomplikowane stosunki kobiety i dwóch mężczyzn, związanych z nią uczuciem". I tak kłopoty węglowo-energetyczne kształtują sposób zaspokajania potrzeb kulturalnych mieszkańców miasta. Przypuszcza, że oddziałują negatywnie na frekwencję. Dopisze na przedstawieniach tylko młodzież szkolna, oglądając wystawiany od końca listopada, z okazji jubileuszu 60-lecia polskiej sceny w Toruniu, "Powrót posła".

Nie omawiałem dotąd tej premiery, a i teraz wspominam ją z tzw. mieszanymi uczuciami.

Ale uciekanie w milczenie - a czyniłem to już parokrotnie - nie należy do praktyk godnych pochwały. Do chlubnych zaś osiągnięć teatru - że zasłużonego, tego nie trzeba powtarzać - nie zapisze się wszakże jubileuszowa realizacja Niemcewiczowskiej komedii, która miała nieść polityczną postawę i obywatelski głos tegoż teatru na dziś i jutro. Darujmy sobie zakłopotanie, jakie odczuwam nie sam zresztą, i nie po raz pierwszy w ostatnim okresie, z racji nie całkiem trafnej obsady. Za poprzedniej dyrekcji nadmiernym eksponowaniem pewnego b. zdolnego aktora wyrządzano - jemu i sztuce, a więc i nam - krzywdę. Obecne kierownictwo teatru popełnia od pewnego czasu dokładnie ten sam błąd. Znacznie jednak poważniejszy błąd drugi polega na plakatowości, która zaciążyła na całej realizacji "Powrotu posła", komedii w końcu wątlutkiej, choć zrodzonej z najlepszych intencji. Antoni Tośta, twórca jej scenograficznego kształtu, wyposażył ją w hurra-dramatyczność, od tragicznych płócien matejkowskich, po szyszaki, armaty, miecze i żołnierską z kaszkietem mogiłkę na scenie. W tym panneaa zamieszczono i podrygującego niemal że zabawnie Szarmanckiego i podszcypywania ciała panny Agatki i inkrustujące komedyjkę w kształt rapsodu songi poezji oświeceniowej, wyśpiewane

z różnym powodzeniem ku widowni. Nie omawiam aktorstwa, nieboga-
tego tutaj, reżyseria zaś Marka Okopińskiego odbiegała od ocze-
kiwań i nadziei, jakie mam prawo wiązać z jego talentem i doświad-
czeniem.

Na przedstawienia "Wierzyieli" Strindberga, jak sądzę, nie
będzie się ściągać młodzieży ze szkół. Oczywiście nie widzę
przeciwwskazń natury obyczajowej. Rozwody weszły w nasz społecz-
ny krwiobieg, nawet dzieci przyzwyczajają się do zmian osób,
nazywanych po kolei tatą lub mamą. Piekiełka zaś domowe, oczywiś-
cie w innej niż u Strindberga, wyrafinowanej literacko i teatral-
nie formie, obecne są również tu, między Bałtykiem i Karpatami,
Rubinkowem i Bydgoskim Przedmieściem. Może więc młody człowiek -
gdyż jego z największą niecierpliwością wypatruję w teatrze, wyś-
ledzić także pewne naiwności autorskie. I tak może on wzruszyć
ramionami nad naiwnością wmawianych Adolfowi przez Gustawa sympto-
mów nieuchronnie grożącej mu epilepsji, spowodowanej jakoby przez
jego własną małżonkę, Teklę. Tę medyczną diagnozę Strindberga -
niedoszły przecież także medyk - traktuje w swoim dramacie na
serio, ba, każe w ostatniej scenie Adolfowi pojawić się
"trupiobladym, z białą pianą na ustach", nim osunie się na ziemię

w drzwiach werandy. Że reżyser toruńskiego spektaklu Edward Wojtaszek nieco tę białą pianę zmodyfikuje, to inna sprawa.

Tenże widz - którego teatrowi zresztą stale życzę - może wreszcie potraktować ów dramat /choć autor nazwał sztukę tragi-komedią/ bądź jako walkę p^{ci} i przejaw antykobiecej obsesji Strindberga, albo, z wyżyn filozoficznej zadumy jako dramat walki o władzę, w której jak w darwinowskiej teorii słabszy musi zginąć.

Gdy w "Powrocie posła" program przypominał wyjątkową pozycję sztuki, zapoczątkowującą polski dramat polityczny, tak tu, w "Wierzycielach" - szczególną prekursor^{ską} rolę Strindberga dla rozwoju nowożytnego dramatu. Co wszakże sprawiało, iż jeden jak i drugi spektakl pozostawiał mnie chłodnym? Sprawdzałem: nie tylko mnie. Wolę wszakże brać osąd na własną odpowiedzialność, a nie tzw. "widza w ogóle". Sądzę, że skojarzenia odwołujące się do moich indywidualnych a także zbiorowych doświadczeń podsuwano mi nazbyt natrętnie: z winy sposobu inscenizacji w "Powrocie posła" i z winy jaskrawej tendencyjności autora "Wierzycieli" w drugim przypadku.

Trywializując sprawę: zanosilo się na dwa tzw. "Volltreffery", celne strzały w gąszcz naszych codziennych dyskusji. "Powrót posła" nie tyle może swoją materią dramaturgiczną, co historycznym przesłaniem, prawda, że wyrażonym językiem sprzed dwu prawie wieków, prowokował do przemyśleń na temat wypadków niedawnych i zadań nader aktualnych. W takim wszakże przyjęciu owego teatralnego przesłania przeszkadzało mi natrętne demonstrowanie tej tendencji, które zgrzytało nadto w zetknięciu z komediowymi wątkami utworu. Tekst zaś Strindbergowski, nużący wielosłowiem i jaskrawą tendencyjnością autora, stwarzał między sceną a mną, wciśniętym w teatralne krzesło, chłód coraz większy, połączony z coraz bardziej nasuwającym się podejrzeniem: skąd ja to znam? Ten wsączający w ~~ucho~~ w ucho naiwnego, mało doświadczonego człowieka, truciznę podejrzeń człowiek, mieniający się jego przyjacielem...

Ta dwukrotnie powtórzona scena podsłuchiwania rozmowy prowadzonej tuż obok, jako integralna, ba: najważniejsza część intrygi - nie jest - że to rozbudowana do dwóch trzecich sztuki, do rangi zasady konstrukcyjnej scena aktu czwartego z "Otella"? Chwył od dwu co najmniej wieków przed Strindbergiem już - ograny?

Tylko jakkolwiek bym szekspirowskiej umowności nie rozgrzeszał - a nigdy nie potrafiłem jej rozgrzeszyć - ani owej sceny z podsłuchiowaniem, ani pośmiertnego pojękiwania Desdemony - u Strindberga miałem tego nadto. Nie lubię po prostu w teatrze - jeśli nie np. w farsie - smaków przemieszanych co najmniej dziwacznie. Nie najlepszy to dramat Strindberga, pisarz ten ma na szczęście w swoim dorobku sztuki o wiele bardziej inspirujące myśl i wyobraźnię. Wypada żałować, że teatr nie pokusił się o zaprezentowanie nam jednej z tych, którymi słusznie zapisał się Strindberg w dramacie europejskim i światowym.

Ale obok tych może nazbyt silnie akcentowanych pretensji do zasłużonego, jak się wspominało, teatru toruńskiego, wypadnie mi przecież odnotować i satysfakcję. Tej w "Wierzycielach" dostarczyła mi ponownie Gabriela Sarnecka. Ponownie, gdyż utrwaliła mi się na długo zwłaszcza piękną ekspresją tytułowej roli w "Zakonnicy" wg. Diderota, po niepodważalnym sukcesie w krytykowanej przez mnie za zawartość treściową sztuce "Za rok o tej samej porze". W "Wierzycielach" aktorka łączyła autentyczność sylwetki z dyskretnym, a bogato różnicowanym zasobem środków wyrazu:

mimiką, gestem, ruchem, intonacją, nie tylko utwierdzała opinię o bogactwie skali swoich możliwości artystycznych, ale i sprawiała że od jej ukazania się na scenie wzrastało zainteresowanie moje dla scenicznych działań. Kto wie, może gdyby nie poprzedził tego momentu długi a nużący dialog jej partnerów, nużący histerycznym wręcz klimatem - może inaczej brzmiałby ton mojej recenzji? Może pisałbym ją z większą satysfakcją, gdyby równie życzliwie przeze mnie witamy zazwyczaj na scenie Jerzy Gliński w roli Gustawa, bardziej zróżnicował kreowaną przez siebie postać? Ale cóż wówczas uczynić by mógł Adolf czyli Zbigniew Kasprzyk, będący na dobrą sprawę koronnym dowodem w mizogynicznym przewodzie Strindberga? Myślę przeto, że mieliśmy tu do czynienia z poprawnym co najmniej debiutem reżyserskim Edwarda Wojtaszka, ~~wspartego przewrotnie z mrocznym zagęstnieniem tej sztuki kontrastującej scenografii Jerzego Rudzkiego. Mimo to osobiście nie wróżę żadnej z opisanych tu sztuk trwałego powodzenia na toruńskiej scenie.~~

Szkoda - bo okazja była - jak się to mówi - w zasięgu ręki.

Zapowiadano na 60-lecie zdawna i głośno "nieboską komedię",

Mogła być wydarzeniem. Zastąpiono ją komedią, którą usiłowano

(kreować na narodowy rapsod. A że materia tego nie bardzo wytrzymuje - więc wytrzymają to uczniaki. Jako lekturę ilustrację. Radbym znał ich opinię. I konsekwencję tych opinii, ^WWynikający z nich stopień zainteresowania młodych swoim teatrem toruńskim. Obawiam się, że teatr im. W. Horzycy zbyt często grzeszy chwiejnością poszukiwań. Wytknęła to mu w niektórych głosach sesja Klubu Krytyki z okazji 60-lecia. Zbyt często oczekiwanie na artystyczne przeżycia wypełniają długotrwałe dreptania, repertuarowa bezradność, przedstawienia od których wieje nadto chłodem i pustką. Jakże przekonywać potem widzów, że warto ^xna prawdę wrócić znów tam, gdzie się raz po raz zostało zawiedzionym?.